

**WOJCIECH
CHMIELARZ
PODPALACZ**

Komisarz Jakub Morka

MARGINESY



**WOJCIECH
CHMIELARZ
PODPALACZ**

MARGINESY

Dla Dagi

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Prawdę mówiąc, jestem okropnie nudny, pani Marcus.
Odebrać mi mój zawód i mnie nie ma.

Dennis Lehane, *Rzeka tajemnic*

(przeł. Łukasz Nicpan)

W nocy temperatura w Warszawie spadła do minus dwudziestu stopni. Mężczyzna był z tego powodu zadowolony.

Gdyby było cieplej, po ulicach snułyby się grupki młodzieży wracające z imprez, nocne marki, które akurat wyszły z psem na spacer, albo włóczędzy plądrujący śmietniki w poszukiwaniu aluminiowych skarbów. Ale w taki mróz nikt nie wystawiał nosa z domu. Ludzie kryli się w ciepłych łóżkach pod kilkoma warstwami koców i pierzyn.

Zimno ułatwiało czuwanie, pobudzało umysł. Mężczyzna sprawdził ekwipunek: goretexsowe rękawiczki do wspinaczki, butelka z benzyną, latarka, nóż, zapalniczka oraz sucha szmatka – wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Raz jeszcze zerknął w tylne i boczne lusterko. Nikogo nie zauważył. Powtórzył w myślach plan i wysiadł z samochodu.

Uderzył w niego lodowaty podmuch wiatru. Skulił się i wsadził ręce do kieszeni. Założył chustę na twarz i przebiegł kilka metrów. Po rozgrzewających się mięśniach rozeszło się przyjemne ciepło. Zawsze był dumny ze swojej muskulatury i sprawności fizycznej. Wiedział, że na takim mrozie łatwo o kontuzję – naciągnięcie ścięgna, skręcenie kostki. To by wszystko skomplikowało. A on nie mógł sobie pozwolić na komplikacje. Nie teraz.

Szybko wykonał cztery głębokie skłony, rozruszał ręce, stawy kolanowe oraz kostki. Kilka razy zamachał szeroko ramionami do przodu i do tyłu, a w końcu na przemian. To musiało wystarczyć.

Przebiegł truchtem kilkanaście metrów, a potem dwoma skokami pokonał najbliższy parkan i znalazł się na terenie posesji. Dopadł do ściany i schował się w cieniu.

Skupił się na tym, żeby uspokoić oddech, a jednocześnie nasłuchiwał, co się dzieje dokoła. W oddali zaszczekał pies, przecznice obok przejechał samochód z uszkodzonym tłumikiem. Poza tym w okolicy panowała senna mroźna cisza.

Uśmiechnął się sam do siebie i poprawił butelkę. Za pomocą krótkiego mocnego sznurka przymocował ją do paska spodni i dla bezpieczeństwa schował w worku wypełnionym watą. W ten sposób nie była narażona na stłuczenie.

Raz jeszcze sprawdził, czy zawiązał dobry węzeł, i wziął dwa głębokie wdechy.

Przed sobą miał taras domu jednorodzinnego, na który wychodziło się przez duże przeszklone drzwi – teraz chronione solidną żeliwną kratą. Powyżej był balkon.

W salonie na parterze paliła się lampa. Nie przeszkadzało mu to specjalnie. Światło było zbyt słabe, żeby w jakikolwiek sposób zdradzić jego obecność, a tworzyło dodatkowe cienie, w których mógł się ukryć.

Drabinę ogrodową znalazł przy tylnej ścianie garażu. Wszedł na taras i rozłożył ją pod balkonem. Krew zaszumiała mu w głowie. Wiedział, że nie należało tego robić, ale zerknął do wnętrza salonu. Właściciel domu był tam, gdzie być powinien – leżał kompletnie pijany na kanapie przy kominku. Mężczyzna dojrzał pustą butelkę wódki na stole tuż obok pełnej niedopałków popielniczki i dwóch puszek po piwie Lech. Smród tytoniowego dymu musiał być tam tak intensywny, że niemal czuł go na języku.

Wdrapał się na drabinę i wyciągnął ręce. Był wysoki, ale wciąż brakowało mu kilku centymetrów do balustrady balkonu. Wybił się więc ze szczebla, chwycił za metalowe pręty, a potem podciągnął w górę. Przeskoczył przez barierkę i przylgnął do ściany.

Rozmasował biceps. Wszystko szło zgodnie z planem. Początkowe zdenerwowanie zniknęło, jakby nigdy go nie odczuwał. Piekły go lekko barki, ale to chyba nie było nic groźnego. Najwyżej następnego dnia będzie miał zakwasy, ale pozbędzie się ich kilkoma ćwiczeniami rozciągającymi, delikatnym masażem i kąpielą w ciepłej wodzie, w której rozpuści wcześniej jedną lub dwie tabletki aspiryny.

Wszedł na barierkę i chwycił się krawędzi dachu. To nie była najbezpieczniejsza droga. Od frontu, przy bocznej ścianie nad garażem znajdowała się drabina dla kominiarzy, którą początkowo planował wykorzystać. Jednak jej wadą było to, że miejsce doskonale oświetlały uliczne latarnie. Mężczyzna nie chciał ryzykować wpadki.

Wszedł na górę. Musiał bardzo uważać, bo lekko spadzisty dach pokrywała warstwa śniegu i nieregularne płaszczyzny grubego lodu. Ostrożnie, niemal na czworakach wdrapał się pod komin. Tam pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Jak każdy doświadczony sportowiec oddychał nie ustami, ale przez nos, żeby powietrze ogrzało się, zanim dotrze do płuc.

Jego puls powoli wracał do normy. Mróz delikatnie szczyptał w policzki, ale pod grubą warstwą ubrań skóra mężczyzny lepiała się od potu. Przez chwilę zastanawiał się, czy dla ochłody nie ściągnąć czapki, bał się jednak przeziębienia.

Wejście na teren posesji oraz wspinaczka wbrew pozorom stanowiły najłatwiejszą część zadania. Teraz czekało go prawdziwe wyzwanie. Mimo to czuł się fantastycznie – pełen mocy i siły. Była godzina druga w nocy z piątku na sobotę. Wszyscy wokoło spali. Mógł być na każdym dachu każdego domu, a ich właściciele, niby bezpieczni we własnych czterech ścianach, nawet by o tym nie wiedzieli. Obudziłyby ich dopiero płomienie. A wtedy byłoby już przecieź za późno.

Za pomocą noża wyważył osłonę otworu wlotowego do kominu. Potem wyciągnął z worka półlitrową butelkę po wódce

Absolwent, w której znajdowała się mieszanina benzyny i oleju silnikowego. Następnie przykleił do niej papierową paczuszkę z chloranem potasu zmieszany z cukrem pudrem.

Wstał. Z kieszeni kurtki na piersi wyjął latarkę i zajrzał do komina. Nie zauważył niczego, co mogłoby utrudniać wykonanie zadania. Ostrożnie wsadził do otworu kominowego butelkę. Nie chciał, żeby się rozbiła, uderzając o ściany. Miała spaść wprost do kominka.

Wstrzymał oddech i puścił szklaną szyjkę.

Butelka poleciała pionowo w dół do wygaszonego paleniska jak bomba lotnicza. Szkło pękło. Pod wpływem uderzenia wybuchł schowany w papierowej paczce chloran potasu, to zaś spowodowało eksplozję mieszaniny benzyny z olejem silnikowym. Chmura ognia wbiła się we wnętrze pokoju.

Mężczyzna zjechał na dół po dachu i zeskoczył na balkon. Przyłgnął do ściany. Odetchnął, a potem podszedł do barierki, zsunął się z niej i wylądował na tarasie. Zerknął do wnętrza salonu i przez żeliwne kraty zobaczył, jak płomienie ogarniają dywan, obrazy na ścianach i suszone kwiaty w wazonie. Właściciel domu wciąż spał pijany na kanapie.

Podpalacz rzucił się do ucieczki. Pośpiesznie przeskoczył parkan i znalazł się na ulicy. Po pokonaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymał się i odwrócił. Ogień wybił szyby w willi, pomarańczowoczerwona łuna unosiła się wzdłuż ścian, a pod dach wzbijały się słupy białoszarego dymu.

Był szczęśliwy. Wiedział, że okoliczni mieszkańcy dopiero się budzą. Minie chwila, zanim ktoś zadzwoni po straż pożarną. Nikt go nie zauważy, nikt nie zwróci na niego uwagi. Ta myśl go uspokoiła. Pozwolił sobie na to, żeby jeszcze chwilę patrzeć na wywołany przez siebie pożar.

Miał erekcję.

Policzył do dziesięciu, a później wszedł do auta i ruszył wąskimi osiedlowymi uliczkami w stronę centrum. Po niecałych

czterech minutach wjechał na Puławską, jedną z ruchliwszych tras w Warszawie, która nawet o trzeciej w nocy była pełna samochodów, i zniknął w sznurze pojazdów.

Światło reflektora przypominało srebrne ostrze. Pojedyncza gwiazda w mroku, w którym kryły się tysiące wpatrzonych w nią osób. Oślepiąca, musiała zmrużyć oczy, żeby cokolwiek widzieć. To była jej noc, jej chwila. Teraz miało się wszystko rozstrzygnąć.

Promień lampy lizał jej skórę, aż piekło. Kropla potu spłynęła po nagich plecach wzdłuż kręgosłupa i zatrzymała się dopiero w miejscu, w którym zaczynają się pośladki.

Dziewczyna zastygła w wyuczonej pozie.

Żeby dostać się w to miejsce, przeszła długą drogę. Pochodziła z małej wsi pod Oławą, gdzie mieszkali smutni ludzie o zmęczonych twarzach, a jej rówieśnicy monotonicznie odliczali czas od jednej soboty do drugiej, dla rozrywki upijając się i rozbijając kolejne maluchy kupowane od okolicznych gospodarzy. Widziała ich wszystkich nawet teraz, kiedy tylko przymykała powieki – skulonych pod kurtkami i bluzami, siedzących na przystanku, tonących w pustych butelkach i puszkach po piwie.

Jeśli się jej nie uda, będzie musiała tam wrócić. Najpierw ją pocieszą, ale w duchu będą się śmiać na myśl, że i ona poległa w starciu z wielkim światem. Nawet gdyby odtąd nabrała pokory i zachowywała się skromnie, to i tak wkrótce zaczną szeptać za jej plecami, że zadziera nosa i że w głowie się jej poprzewracało, bo raz w życiu pojechała do Warszawy na jakiś tam konkurs. I prędzej czy później, może za przystankiem, może w ubikacji pobliskiej dyskoteki, klęknie przed jakimś chłopakiem, zwilży językiem suche wargi i weźmie jego lekko słonego, niemytego, śmierdzącego moczem penisa do ust. A potem wszystko potoczy się już samo: zajdzie w ciążę, weźmie szybki ślub i zamieszka w pokoju u teściów, gnieźdząc się tam z dzieckiem i mając do

końca życia na głowie męża pijaka, który będzie rzadko pojawiać się w domu, a jeśli już wróci wstawiony, to nazwie ją kurwą, uderzy otwartą dłonią w twarz i poprawi kopniakiem.

Nie chciała takiego życia. I dlatego stała teraz w świetle reflektorów ubrana w skąpy kostium kąpielowy i modliła się do Boga, żeby dał jej szansę na coś więcej.

– Miss Polonia 2010 zostaje...

Konferansjer zawieszają głos, a ona umiera ze zdenerwowania.

– Klaudia Kameron!

W pierwszym momencie nie może uwierzyć, ale prowadzący powtarza jej nazwisko i wreszcie dociera do niej, że to prawda. Sen się ziścił. Żrenice rozszerzają się gwałtownie, a w żyłach zdaje się krążyć czyste szczęście. Chciałaby skakać z radości, wyciągnąć triumfalnie ręce w górę lub po prostu paść na kolana i dziękować Bogu. Ale nie może. Przeszkolili ją, jak się ma zachować, kiedy nastąpi ta chwila. Dlatego uśmiecha się odrobinę szerzej niż zwykle i macha dłonią do rozentuzjasmowanego tłumu, który wyje w ciemności.

Wszystkie reflektory wybuchają światłem i kierują się na nią. Jest przerażona. Pot spływa już nie tylko po jej plecach, ale także po biuście, brzuchu, pachwinach, głowie, na którą ktoś założył niepostrzeżenie ciężką, rozgrzaną koronę.

To piecze, to piecze! – chce krzyknąć, ale wie, że nie może. Dalej macha radośnie dłonią. Zgaście reflektory – błaga w myślach. Dzieje się coś złego. To nie powinno tak wyglądać...

Promienie lamp nadal parzą jej ciało.

Otworzyła oczy i podniosła się gwałtownie, uderzając głową o coś miękkiego. Oddychała ciężko. To był sen – uświadomiła sobie. Tylko sen.

Ta myśl nie przyniosła ulgi. Zamiast tego poczuła ukłucie strachu. W pierwszej chwili nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Dotarło to do niej w ułamku sekundy.

Zasnęła. Zasnęła albo zemdląła. To zresztą nie miało znaczenia. Przymknęła powieki, próbując zrekonstruować wydarzenia ostatnich kilku godzin. Najpierw powrót męża. Potem kłótnia o spa, która przerodziła się w dziką awanturę. Uderzył ją. Raz. Drugi. Chciała uciekać z domu, ale zagroził jej drogę. Pobiegnęła na górę do sypialni i schowała się w garderobie. Zapomniała jednak, że klucz do niej tkwi w drzwiach od zewnętrznej strony. Zanim zdążyła coś zrobić, usłyszała cichy, pełen złośliwości rechot i odgłos przesuwającej się zasuwki. Zamknął ją. Kiedy to się wydarzyło? Ile godzin temu? Nie potrafiła określić. Z trudem oddychała. Pot zalewał jej oczy. Kolejny obraz. Dym, ciepło, trzask pękającego od uderzeń gorąca drewna. Pożar... W domu szaleje pożar!

Rzuciła się do drzwi. Napała na nie barkiem, ale nawet nie drgnęły. Mimo kłębow dymu próbowała myśleć jasno. Przychodziło jej to z trudem. Jakby ktoś uwięził jej mózg w żelaznych kajdanach.

Łyżka do butów!

Schyliła się i znalazła ją na podłodze niedaleko drzwi. Metal był ciepły i śliski.

Palcami wymacała w drzwiach miejsce, w którym znajdował się zamek, a tuż obok wydrążony otwór – na tyle duży, że wyczuła mechanizm zasuwki. Musiała pracować nad nim od dłuższego czasu, chociaż niewiele z tego pamiętała.

Zakręciło się jej w głowie. Z trudem łapała każdy kolejny oddech. W pomieszczeniu było coraz mniej tlenu, a coraz więcej dwutlenku węgla. Zrozumiała, że zapewne szybciej się udusi, niż dotrą do niej płomienie.

Wrzasnęła w ciemność, a po policzkach spłynęły jej łzy. Skup się, skup! – krzychała do siebie w myślach, jednocześnie uderzając łyżką o drzwi. Nie pomagało.

Drzwi były grube, solidne i mocne. Może udałoby się wcześniej, kiedy miała więcej sił, ale nie teraz, kiedy ociężała ramiona z trudem wykonywały najmniejszy ruch.

Wbiła łyżkę do butów w dziurę pomiędzy framugą a zamkiem i spróbowała użyć jej jako łomu. Łyżka tylko się zgięła pod ciężarem ciała, a kobieta uderzyła twarzą o drzwi i padła na kolana.

Na dole było jakby ciepłej. I bardziej duszno. Śmierdziało spaleniźnie. Ale poczuła się tu przyjemnie. Jej powieki opadły same – jak ciężkie aksamitne kurtyny.

Wzdrygnęła się.

Czy usnęła? Ile czasu mogła stracić?

Z jednej strony zdawało się jej, że to, co robi, jest beznaście marnowaniem ostatnich chwil życia na udawanie, że ma jeszcze jakąś szansę na ratunek. Powinna przestać się bać, zamknąć oczy i po prostu czekać, aż zaśnie po raz ostatni. Tak by było łatwiej. Ale z drugiej strony w głowie wciąż słyszała głos, który zawsze dawał jej nadzieję, tak jak wtedy, gdy kilka lat temu wcale nie udało się jej wygrać konkursu Miss Polonia, ale mimo to nie wróciła do rodzinnej wsi, by pogrążyć się w rozpacz; głos, który mówił, że Klaudia Klau może w życiu upadać, ale zawsze się podnosi. Teraz też się podniesie i nie umrze w tej garderobie, uwędzona trującym dymem.

Przejechała językiem po suchym podniebieniu.

Już wiedziała, co musi zrobić. Zrzuciła odzież i upchnęła ją stopą w szparze między drzwiami a podłogą, żeby odciąć dopływ dymu. Oceniała, że to powinno dać jej kilkadziesiąt sekund. Potem chwyciła za drążek, na którym wisały ubrania. Szarpnęła raz i drugi. Uwiesiła się na nim. Poczuła, że śruby pękają, a ona sama spada na dół. Wyrwała ze ściany jedną końcówkę.

Odetchnęła, żeby nabrać sił.

Złapała mocno pręt i szarpnęła jeszcze raz. Wyrwała drugą końcówkę. Obróciła drążek w rękach i wbiła go w dziurę obok zamka. Napała. Tym razem ramię dźwigni było dłuższe, a łom wykonany z mocnej stali. Drzwi zatrzeszczały i lekko się wygięły, ale zaraz wróciły do pierwotnej pozycji. Zaciśnęła zęby i resztkami

sił napała ponownie. Zamek puścił z trzaskiem. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a ona straciła równowagę i poleciała przed siebie.

Wpadła prosto do piekła.

Poczuła pieczenie – tysiące małych, rozgrzanych do czerwoności węgielków wbijających się w jej skórę, policzki, usta, gardło, płuca. Zapach spalonego mięsa i smród zwijających się pod wpływem temperatury w czarne strzępy włosów. Chciała uciec z powrotem do szafy, odgrodzić się od ognia drzwiami i umrzeć w ciszy i błogości od dwutlenku węgla.

Wrzeszczała i płakała.

Sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Płomienie były tak mocne i wysokie, że ucieczka drzwiami wejściowymi w ogóle nie wchodziła w rachubę. Umarłaby, nim przekroczyłaby próg pokoju.

Wstała i zasłoniła twarz ramieniem. Na niewiele to się zdało. Żar i tak ranił jej oczy, powieki, drażnił czoło i podbródek.

Podbiegła do popękanych okien. Otworzyła je i chwyciła za kraty. Szarpnęła. Zamknięte. Klucz! Musiał gdzieś tu być. Gdzieś blisko. Zawsze tu był. Zaczęła przeszukiwać na oślep parapet, aż natrafiła na niewielki pęk. Parzył jej dłonie i wbijał się w ciało, jakby było z masła. Wybrała jeden z kluczy i wsadziła w zamek kłódkę. Miała szczęście, bo od razu trafiła na właściwy. Wyszarpnęła kłódkę i otworzyła szeroko kratę.

Jej ciało wiło się, kurczyło i skręcało. Próbowiła wejść na parapet, ale nie miała siły. Zamiast tego po prostu się na nim położyła, a potem przeczołgała na zewnątrz. W pewnym momencie straciła podparcie i bezwładnie spadła.

Lodowata ziemia była dla niej miękka jak poduszka. Z ulgą zapadła w ciemność.

Straż pożarna przyjechała na miejsce po około siedmiu minutach od otrzymania zgłoszenia. Cały dom stał już wtedy w płomieniach.

Komisarz Jakub Mortka wypił ostatni łyk kawy z kubka termoizolacyjnego. Napój przyjemnie go rozgrzał i rozbudził. Przyjrzał się sobie w tylnym lusterku. Wyglądał okropnie. Nieogolony, z podkrążonymi oczami i szarą, ziemistą cerą wydawał się przynajmniej pięć lat starszy, niż był w rzeczywistości.

Dariusz Kochan zapukał w szybę dziesięcioletniej toyoty corolli. Mortka westchnął, odłożył kubek i otworzył drzwi. Temperatura na dworze wzrosła, tak w każdym razie mówili w radiu, ale komisarz odniósł wrażenie, że zamiast minus piętnastu stopni jest co najmniej minus trzydzieści. Zerknął pytająco na podkomisarza. Wciąż miał jeszcze nadzieję, że nie będzie musiał wychodzić z ciepłego wnętrza samochodu.

– I co tam?

– Niedobrze. Wskakuj z wozu.

– Co to znaczy niedobrze?

Kochan wykrzywił usta zirytowany.

– Niedobrze to znaczy trup i mocno uszkodzona panienska. Wystarczająco niedobrze, żebyś ruszył tyłek, panie komisarzu?

– Wystarczająco – odpowiedział ze złością Mortka.

Wysiadł z auta i wsadził dłonie w kieszenie spodni. Stał przed spaloną willą przy ulicy Kanarkowej w południowej części Warszawy, na osiedlu domków jednorodzinnych niedaleko wielkiego blokowiska Ursynowa. Kilkaset metrów dalej widział czubki drzew Lasu Kabackiego, a daleko za plecami słyszał odgłosy aut pędzących Puławską.

Była to specyficzna okolica, gdzie obok siebie stały starsze klockowate domy z płaskimi dachami i nowoczesne wille – piękne jak z amerykańskich filmów. Przy samej Puławskiej postawiono kilka niewielkich biurowców. Całość stanowiła dziwaczne pomieszanie ekskluzywnego osiedla ze starą zabudową, pozbawione jednak nieprzyjemnego elitarnego charakteru Konstancina, gdzie człowiekowi, który zarabia mniej niż milion złotych rocznie, dawano do zrozumienia, że źle wpływa na uzdrowski charakter miejscowości. Wąską zaśnieżoną ulicę blokowały wóz strażacki i radiowóz, wokół których zebrał się niewielki tłumek gapiów.

Komisarz ziewnął głośno i przeciągnął się.

– Nie wyspałeś się? Studenci znów zrobili imprezę? – zapytał Kochan.

Mortka kiwnął głową.

– Dlaczego po prostu nie wlepisz im mandatu za zakłócanie ciszy nocnej? Błoczki ci się skończyły?

W odpowiedzi komisarz uśmiechnął się krzywo.

Kochan poprowadził go do stojącego przy bramie posesji strażaka – czterdziestoletniego, lekko brzuchatego mężczyzny z wielkim czarnym wąsem, który kierował akcją gaśniczą.

Mortka sięgnął po legitymację służbową.

– Dzień dobry – przywitał się i pokazał dokument. – Komisarz Jakub Mortka. Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Podkomisarza Kochana już pan zna?

Mężczyzna spojrział na Mortkę spode łba, a potem skinął głową.

– Dzień dobry. – Miał mocny, głęboki głos. – Aspirant Marcin Kowalski.

Mortka stłumił kolejne ziewnięcie i przyjrzał się spalonej willi. Był to piętrowy, ładnie wyglądający budynek z wejściem w stylu dworku w Soplicowie. Miał lekko spadzisty dach z czerwonej dachówki, garaż i otoczony był sporym ogrodem. Komisarz pomyślał,

że przed takim domem powinien stać luksusowy samochód terenowy – wysiadałby z niego przystojny czterdziestolatek ze skórzaną aktówką w dłoni, witając żonę, która pielęgnowałaby kwiciste rabatki, troskliwie zerkając na bawiące się na huśtawce dzieci. Obraz przytulnego rodzinnego gniazdka psuły tylko czarne żeliwne kraty w każdym oknie, które upodobiały dom do luksusowego więzienia. Na pierwszym piętrze kraty były jednak otwarte.

Na skutek pożaru popękały wszystkie szyby, a na żółtych ścianach pojawiły się brudne, smoliste słupy. Ogień sięgnął nawet dachu, o czym świadczyła wielka wyrwa wśród poczerniałych dachówek.

– Co się tu stało? – spytał Mortka.

– Około godziny drugiej w nocy w domu wybuchł pożar. Pierwsze wezwanie otrzymaliśmy o godzinie drugiej dziesięć, a na miejscu byliśmy mniej więcej sześć minut później – odpowiedział strażak.

– Szybko.

Kowalski wyglądał na urażonego tą uwagą, jakby w ustach policjanta słowo „szybko” tak naprawdę oznaczało przyganę, że nie dotarli na miejsce prędkiej.

– Mamy remizę na Płaskowickiej, niedaleko stąd – mruknął. – Dom, jak pan komisarz widzi, został znacząco uszkodzony. – Zwrot „pan komisarz” wypowiedział w lekceważący i drwiący sposób. – Od środka wygląda to jeszcze gorzej. Na szczęście ogień nie przeszedł na inne budynki.

– Szybko spłonął, jeśli byliście tutaj już po sześciu minutach – zauważył Kochan.

– To był środek nocy, okolica jest spokojna, ludzie spali. Oceń, że pożar szalał już dobrych dziesięć minut, zanim do nas zadzwoniono.

Strażak zauważył, że Mortka wpatruje się w otwartą kratę okienną na piętrze.

– W czasie zdarzenia zginął właściciel domu – wyjaśnił Kowalski. – A właścicielka została ciężko poparzona. Przeżyła tylko dlatego, że uciekła, skacząc właśnie z tego okna, na które pan spogląda. Połamano sobie nogi.

Komisarz odczekał, aż strażak skończy mówić, i podrapał się po nosie. Znowu zachciało mu się ziewać. Spojrzał na zegarek. Była sobota rano, dochodziła siódma trzydzieści. Powinien o tej porze jeszcze spać, ale straż pożarna nalegała, żeby na miejscu pojawił się ktoś z wydziału, i padło na Mortkę.

– Panie Kowalski... Aspirancie Kowalski, jak się powinienem do pana zwracać?

– Aspirancie.

– Dobra, a więc aspirancie Kowalski. Proszę wybaczyć, ale wyglądamy mi to na zwykły pożar. Fakt, dosyć tragiczny. Wzywanie nas chyba nie było potrzebne. Przynajmniej nie tak wcześnie rano. Wystarczyłyby pewnie miejscowe chłopaki.

Strażak zmroził go wzrokiem.

– Proszę za mną, komisarzu – powiedział i ruszył przed siebie.

Wprowadził ich do willi. Przeszli przez zniszczony przedpokój do dużego salonu. Wnętrze wyglądało tak, jakby wybuchła w nim bomba. Ściany poczerniały od dymu, meble spaliły się w części lub w całości. Podobnie obrazy. Na podłodze walały się kawałki szkła, drewna, strzępy dywanów, a do tego wszędzie było pełno błota powstałego ze zmieszania wody i popiołu.

Płomienie strawiły niemal wszystko. Niedaleko ocalałego z pożogi kawałek stołu leżało ciało. Ktoś zakrył je kocem, ale Mortkę i tak przeszył dreszcz. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał przyjrzeć się temu, co ukryto pod szarą płachtą.

Kowalski podszedł do kominka i kiwnął palcem na policjantów. Kochan niechętnie zrobił krok do przodu i zerknął przez ramię w stronę drzwi.

– Konstrukcja budynku jest nienaruszona – mruknął strażak. – Nie ma się pan czego bać.

– Nie boję się – odpowiedział Kochan.

Strażak wzruszył ramionami, po czym głośno klasnął.

– Dobrze, panowie! – Jego głos odbił się od nadpalonych ścian. – Pożar rozpoczął się w tym pokoju.

– To widać – szepnął Kochan pod nosem.

– A dokładnie od kominka. Jak panowie mogą zauważyć, meble są bardziej zniszczone właśnie od tej strony.

Komisarz Mortka przyjrzał się kanapie. Nie widział żadnej różnicy w stopniu zdewastowania umeblowania z obu stron, ale postanowił uwierzyć Kowalskiemu na słowo. Później zastanowił się nad tym, czy strażak jest wiarygodny jako ekspert.

– Wskazują też na to ślady po dymie – kontynuował aspirant. – Sufit jest najczarniejszy wokół otworu wylotowego paleniska. Jak panowie pewnie zauważyli, w domu są drewniane podłogi. Zwęglają się one w formie szachownicy, której pola są tym mniejsze, im bliżej do źródła pożaru.

Mortka dostrzegł charakterystyczne ślady. Rzeczywiście, strażak się nie mylił.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał szczerze Kowalski. – Tłumaczyli mi to w Szkole Głównej, ale to było wiele lat temu. A teraz zapraszam panów bliżej.

Podeszli do kominka i kucnęli. Strażak wyjął z kieszeni munduru długopis i wskazał nim sporej wielkości czarne grudki o ostrych krawędziach.

– Widzą panowie?

– Kawałki szkła – powiedział Kochan.

– Właśnie. A teraz proszę głęboko wciągnąć powietrze.

Zrobili, co im kazał.

– Czują panowie?

– Nie bardzo – rzucił z powątpiewaniem Mortka.

– No tak. To pewnie kwestia doświadczenia. Wy na pierwszy rzut oka rozpoznajecie, kto jest bandziorem, a kto nie. Proszę jeszcze raz zrobić wdech.

Mortka zamknął oczy i całkowicie skupił się na zmyśle powonienia, ale nadal czuł wyłącznie wilgotny zapach spalenizny.

– Wciąż nic?

– Nic.

Strażak westchnął lekko rozczarowany.

– A ja czuję tutaj benzynę – oznajmił.

Mortka spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Benzynę?

– Naprawdę. Benzynę – warknął strażak. – Gdybyście przysłali tu ludzi z laboratorium, to pewnie znaleźliby jeszcze jej ślady pomiędzy deskami w podłodze lub w samym drewnie. A jak przezeszają popiół, to na pewno będą w nim resztki szmaty.

Komisarz Mortka wstał.

– Czyli sugeruje pan, że to było podpalenie?

Strażak spojrzał mu prosto w oczy.

– Jestem tego pewien.

– Na podstawie śladów po ogniu, kawałków szkła i własnego powonienia? – Głos komisarza zabrzmiał arogancko i agresywnie. Mortka nie wiedział, dlaczego sprowokował strażaka. Może to z powodu niewyspania. A może dlatego, że bardzo chciał, żeby to był zwykły, chociaż tragiczny w skutkach pożar.

– Wie pan co, komisarzu? – Strażak zmarszczył gniewnie brwi. – Ja pana nie uczę wykonywać waszej pracy. Jak dostają mandat za parkowanie w złym miejscu, to go płacę i się nie wyklócam, że znak zakazu stał dwa metry dalej. Trochę szacunku, dobrze? Zajmuję się ogniem i pożarami od prawie dwudziestu lat i potrafię powiedzieć, czy mam do czynienia z podpaleniem

czy nie. A akurat w tym wypadku, panie komisarzu, jestem tego pewien. I nawet wiem, jak do niego doszło.

– Jak?

– Ktoś wrzucił koktajl Mołotowa przez komin.

– To głupie – prychnął Mortka.

Strażak aż spurpurowiał ze złości.

– Przyślijcie tu swoich chłopaków z laboratorium. Znajdą to, co powiedziałem. Dom, kraty w oknach, wszystko było zamknięte od środka. Wiem, bo sami wyważaliśmy drzwi. Podpalacz musiał się wspinać na dach i wrzucić koktajl przez komin – stwierdził stanowczo.

– Jeśli to w ogóle był jakiś podpalacz – mruknął Kochan.

Komisarz uciszył kolegę i spojrzał tęsknie na zegarek. Była wczesna pora, a on musiał wyęźać wszystkie siły, żeby się skupić.

– A więc przyczyną pożaru okazał się koktajl Mołotowa wrzucony przez komin?

Strażak zrobił minę, jakby rozmawiał z idiotą.

– Tak, panie komisarzu – odpowiedział drwiącym tonem.

– A czy to rzeczywiście jest możliwe, panie aspirancie? – zapytał z niedowierzaniem Mortka, wypowiadając słowa „panie aspirancie” dokładnie w taki sam protekcyjny sposób, w jaki zwracał się do niego Kowalski. – Czy taka butelka zmieści się w kominie?

– Według przepisów prawa budowlanego kominiek musi mieć przewód kominowy o wymiarach co najmniej czternaście na czternaście centymetrów lub o średnicy co najmniej piętnastu centymetrów.

Mortka podrapał się po policzku. Piętnaście centymetrów. Próbował sobie wyobrazić tę długość. Standardowa szkolna linijka ma, o ile dobrze pamiętał, dwadzieścia centymetrów. Jaka mogła być średnica butelki wina lub wódki? Dziesięć centymetrów? Chyba za dużo, ale nawet jeśli, to zostawało jeszcze pięć centymetrów

luzu. Hipoteza strażaka dalej brzmiała dla niego nieprawdopodobnie, ale dla świętego spokoju oraz utrzymania poprawnych stosunków pomiędzy służbami mundurowymi postanowił dać za wygraną.

– Dobra. Kochan, zadzwoń po chłopaków z laboratorium. Niech tutaj przyjadą. Nie zaszkodzi sprawdzić – powiedział.

Na twarzy strażaka odmalowało się poczucie ulgi.

– Był już tutaj prokurator? – zapytał Mortka.

Kochan wyszczerzył zęby, jakby komisarz opowiedział wyjątkowo dobry dowcip.

– Kuba, a jak myślisz? Jest sobota, siódma rano. Jaki prokurator przyjedzie ci o tej porze do zwykłego pożaru nawet z trupem w pakiecie? Później wszystko podpiszą. Tylko my, szare żuczki gnojzarze, jeździmy do każdej pierdoły.

Kowalski drgnął, gdy usłyszał ostatnie słowo.

– To nawet dobrze. Im później się tu zjawi, tym lepiej – stwierdził Mortka. – Cholera wie, kogo by przysłali tym razem.

Komisarz ułożył w głowie listę niezbędnych czynności: straż pożarna znajduje trupa, jest podejrzenie podpalenia, mówią o tym rejonowym, rejonowi zawiadamiają terror i zabójstwa. Terror i zabójstwa wysłała jego i Kochana. Odhaczone. Co teraz? Oni zawiadamiają laboratorium, chłopaki pewnie pojawią się tu za godzinę, chyba że Kochan ich odpowiednio zmotywuje.

Komisarz usłyszał, jak Kochan klnie przez telefon. Laboratorium będzie tu za pół godziny – pomyślał. Kochan miał dar przekonywania. Dobierał ton i przekleństwa w taki sposób, że każdy, kto słuchał jego wiązanki, czuł się nagle zobowiązany rzucić wszystkie inne obowiązki i ruszyć podkomisarzowi z pomocą. Mortka nigdy nie potrafił zrozumieć, na czym to polega. Kiedyś próbował użyć tych samych słów w stosunku do tej samej osoby co wcześniej Kochan, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, żeby się wypchał.

Wrócił do listy. Klienta zabiorą do patologa dopiero po wizycie prokuratora. Odhaczone. Co dalej?

– Mój kolega i pan wspominaliście o rannej właścicielce domu. Co się dokładnie stało? – spytał Kowalskiego.

– W czasie pożaru była uwięziona na piętrze. Nie wiemy jeszcze jak i dlaczego. Mogła po prostu spać i obudzić się, kiedy ogień już szalał. Udało się jej otworzyć kratę w oknie i wyskoczyła z płonącego budynku. Została poważnie poparzona, a podczas upadku połamała obie nogi, ale będzie żyć. Jest już w szpitalu.

– Którym?

– MSWiA.

– Jasne. Zanim pójde porozmawiać z kolegami z rejonówki, czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze? – zapytał komisarz. Strażak zawahał się, a jego twarz niespodziewanie stężała.

– To już trzecie podpalenie tego typu w ostatnim czasie – powiedział w końcu.

Mortce wydawało się, że się przesłyszał.

– Trzecie?

Strażak przytaknął niechętnie.

– I dopiero teraz nas zawiadamiacie!? – wrzasnął policjant. Kilka osób przerwało pracę i spojrzało w jego kierunku.

– Wcześniej nikt nie zginął. A biorąc pod uwagę waszą dzisiejszą reakcję, to bez trupa byście nawet palcem nie kiwnęli – mruknął strażak.

– Gdybym od początku wiedział, że to już trzeci taki przypadek, to nasza rozmowa wyglądałaby trochę inaczej – odpowiedział komisarz.

– Jasne. Bajki opowiadaj dzieciom.

– Bajki!? Jakie bajki!? Przyjeżdżam na miejsce do czegoś, co wygląda jak zwykły wypadek podczas palenia w kominku, a teraz, w ostatniej chwili, dowiaduję się, że to środek pierdolonej

serii. Jakie jeszcze informacje zataja przed nami straż pożarna!? – Mortka wypluwał z siebie słowa, gestykulując energicznie.

Kowalski nadął policzki, a potem wypuścił z nich powietrze.

– Jakie zataja!? – zaprotestował. – Grzecznie powiedziałem. Będzie mi tu mówił o zatajaniu, jebany pies.

Mortka poczuł, że z gniewu traci dech w płucach.

– Co powiedziałeś!? Jak mnie nazwałeś!?

Zacisnął pięści. Strażak zrobił krok do tyłu, ale nie po to, żeby się wycofać, ale żeby przyjąć lepszą postawę do walki. Wtedy jednak Kochan wkroczył między mężczyzn.

– Spokojnie, panowie. Spokojnie. – Poklepał ich delikatnie otwartą dłońią po klatkach piersiowych. – Za chwilę będzie tu laboratorium, nie zacierajcie śladów. Jak macie się bić, to na zewnątrz, na mrozie. I na gołe klaty. Gapie będą mieli ubaw, bo na razie wyglądają na trochę zawiedzionych.

Mortka dyszał ciężko. Nienawidził określenia „jebany pies”. Słyszał je już chyba tysiąc razy. Nawet jego była żona raz go tak nazwała. Patrzyli sobie teraz z Kowalskim prosto w oczy, niezdecydowani, czy rzucić się na siebie, czy puścić cały incydent w niepamięć.

– Przepraszam – mruknął w końcu strażak, odwracając przy tym głowę, jakby mówił do kogoś innego.

– Nie lubię, jak mnie ktoś nazywa jebanym psem – odparł komisarz.

– Przepraszam raz jeszcze – powiedział Kowalski głośniej i wyraźniej.

Poczuli wstyd, że tak łatwo stracili panowanie nad sobą. Uśmiechnęli się równocześnie. To był kwaśny uśmiech, ale oznaczał, że topór wojenny został zakopany.

– Proszę opowiedzieć o tych pozostałych pożarach – poprosił Mortka.

Strażak przygryzł wargę.

– Miał pan rację, że zrobiliśmy błąd, nie zawiadamiając was, ale proszę, niech mi pan da wytłumaczyć – zaczął. – Jest zima, i to dość sroga. Nawet pan sobie nie wyobraża, komisarzu, jakim głównem ludzie ogrzewają domy. Bywa, że jeździmy z jednej akcji na drugą. Pożary ze pięć elektrycznych w starych grzejnikach, płonące kominy, które nie widziały kominarza od lat, a o których właściciele przypomnieli sobie, dopiero kiedy zrobiło im się zimno w domu; kozy, które ludzie powyciągali z piwnic i palą w nich, chociaż nie wiedzą, jak ich używać; do wyboru, do koloru. Głupota nie zna granic. Do tego wyjazdy do sopli lodu, dachów, które trzeba odśnieżyć, i wypadków samochodowych, których też jest sporo. Kupa roboty i od cholery papierków potem do wypełniania. Rozumie pan?

– Czy rozumiem? Zatrzymujemy zwykłego złodzieja samochodu, a potem jest tyle formalności, że pod koniec zapominamy, dlaczego go właściwie aresztowaliśmy.

Strażak uśmiechnął się. Tym razem szerzej i szczerze. Mortka z zaskoczeniem stwierdził, że chyba go polubi. Obaj pracowali w służbach mundurowych, które aż tak się od siebie nie różniły: te same problemy, te same głupie i niepotrzebne dokumenty do przygotowania i to samo poczucie obowiązku, które nie pozwala rzucić wszystkiego w cholerę. No ale strażaka pewnie nikt nigdy nie nazwał jebanym psem.

– Wszystkie trzy pożary były w tej samej okolicy – kontynuował Kowalski. – Wśród domków jednorodzinnych po obu stronach Puławskiej. Na pierwszy, szczerze mówiąc, nie zwróciliśmy uwagi. Nikt nie zginął. Straty też były niewielkie. Właściciele nie było wtedy w mieszkaniu. Po akcji przyznali, że zostawili ogień w kominku. Co prawda, w środku śmierdziało trochę benzyną, ale pomyśleliśmy, że używali jej jako podpałki. Poza tym właściciel wziął na siebie winę za spowodowanie pożaru, sprawa z ubezpieczycielem została załatwiona, wszystko ładnie, pięknie, zamknęliśmy sprawę.

– A co z kolejnym przypadkiem?

– To samo. Żadnych ofiar, spalony pokój z kominkiem i trochę korytarza. Było już groźniej, ale nie aż tak jak tutaj. Tam mieliśmy jakieś podejrzenie. Wie pan, znowu kominek, znowu pod nieobecność właściciela, znowu benzyna. Ale potem zdarzyła się ta straszna sprawa na Ursynowie. Słyszał pan?

– Nie.

– Student ASP oblewał dyplom. Jedna dziewczyna zasnęła z papierosem w ustach. W mieszkaniu było pełno rozpuszczalników, farb, materiałów plastycznych. Wszystko momentalnie zajęło się ogniem. Dwie osoby się spaliły. Ta dziewczyna i student od dyplomu. Uratował się tylko chłopak, który schował się na balkonie. Stało się to tuż przed świętami. Nie mieliśmy potem głowy do niczego innego. I teraz to. Kiedy po akcji gaśniczej wszedłem do willi, zobaczyłem tego trupa, poczułem zapach...

Mortka zamyślił się. Doskonale znał ten naturalny mechanizm obrony przed nadmiarem obowiązków, którym ich obarczano. Policjanci też zwykle wybierali najprostsze rozwiązanie sprawy, nawet jeśli przeczuwali, że niekoniecznie jest ono prawdziwe. Oczywiście czasami można by się bardziej przyłożyć, poszukać nowych tropów, współsprawców, innych wątków. Prawda jest jednak taka, że śledztwo trzeba zamykać najszybciej, jak to możliwe, bo inaczej ginie się pod lawiną wniosków, akt, dokumentów, rozpoczętych dochodzeń, których nigdy nie ma czasu doprowadzić do końca. W straży pożarnej najwyraźniej postępowano tak samo. Właściciel przyznaje, że pożar to jego wina, raz-dwa podpisujemy papiery, zawiadamiamy, kogo trzeba, i nie wracamy do tematu. Czasami zaś, jak w wypadku drugiego podpalenia, nagłe wydarzenia zmieniały listę priorytetów i należało zająć się tym, o czym właśnie napisała prasa. Zabijały ich statystyki wykrywalności, presja przełożonych i formularze, które musieli wypełnić, a których nikt potem nie sprawdzał, bo nie było po prostu na to czasu.

– Jak się skończyło z tym drugim pożarem? – zapytał.

– Wie pan, ci ludzie nawet nie byli ubezpieczeni, więc było im wszystko jedno. Z tego, co pamiętam, to po prostu zamknęliśmy sprawę, uznając, że pożar wybuchł z ich winy.

– I nie protestowali?

– Zależało im, żeby jak najszybciej zacząć remont. Wszyscy nasi ludzie i policja byli zaangażowani w tę sprawę przy Na Ubozczu, więc poszliśmy im na rękę. Mimo że mieliśmy wątpliwości.

Komisarz skinął głową. Rozejrzał się jeszcze po spalonym pomieszczeniu. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na szarym kocu, który przykrywał zwłoki. Westchnął. Plan działania. To było teraz najważniejsze.

– Pewnie ma pan jeszcze trochę roboty – powiedział do Kowalskiego. – Pójdę porozmawiać z chłopakami z Ursynowa. Może spotkamy się później, jak już będzie spokojniej? Na przykład u was na Płaskowickiej?

Strażak potrzebował chwili, żeby ocenić sytuację.

– W porządku. Umówmy się na dwunastą u nas. Do tej pory wszystko tutaj powinno być już pozamiatane.

Ucisnęli sobie dłonie.

Na zewnątrz Mortka wypatrzył policjanta, który w mundurze zimowym podskakiwał w miejscu, żeby się rozgrzać. Był to młody, krótko ostrzyżony chłopak o dziecinnej twarzy. Mortka wybrał go, bo wyglądał na odrobinę mniej znudzonego niż jego koledzy, którzy tylko tęsknie spoglądali na zaparkowane niedaleko radiowozy i czekali na zwolnienie ze służby. Poza tym odniósł wrażenie, że funkcjonariusz przyglądał mu się uważnie, kiedy pojawił się na miejscu. Chłopak zmarszczył wtedy brwi, próbując zapamiętać kształt twarzy, nosa, przybliżony wiek i kolor oczu komisarza. To zaś świadczyło o tym, że ma trochę oleju w głowie i można mu powierzyć bardziej odpowiedzialne zadania niż tylko pilnowanie, by gapie nie podchodzili do willi.

Mortka zbliżył się do chłopaka i bez słowa machnął mu przed oczami legitymacją służbową. Policjant natychmiast zasalutował zamasztywym gestem, o mało nie ściągając sobie przy tym czapki z głowy.

– Sierżant Skalski, komenda na Ursynowie – zameldował się, jakby był na apelu.

Mortka kiwnął aprobująco głową i poprosił o przepytanie sąsiadów. Skalski miał się dowiedzieć, czy w okolicy nie widziano nikogo podejrzanego, a także kim był właściciel posesji.

– Uważa pan, że to podpalenie, komisarzu? – zapytał Skalski.

Mortkę uderzyła zmiana, jaka zaszła na twarzy młodego policjanta. Wcześniej zdawał się skupiony i poważny, teraz oczy lśniły mu z podniecenia, a policzki zrobiły się czerwone. Chłopak szybko kojarzył fakty.

– Jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków.

Komisarz starał się, żeby jego głos zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo i obojętnie.

– Zrobiłem już wstępne rozpoznanie – pochwalił się sierżant. – Dom należał do Jana Kamerona. Przedsiębiorcy. Miał własną firmę w Piasecznie, ale sąsiedzi nie wiedzieli, czym się dokładnie zajmował. Żona ma na imię Klaudia.

– Dobra robota – pochwalił go zaskoczony komisarz. Nie spodziewał się, że ktokolwiek tutaj wykaże się inicjatywą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął metalowy wizytownik. Żeby go otworzyć, musiał ściągnąć rękawiczkę. Uporał się z zamknięciem i wręczył jeden kartonik Skalskiemu.

– Tu jest mój mejl, numer telefonu na komendzie i komórka. Dzwon o każdej porze, jeśli tylko coś znajdziesz.

– Tak jest.

Policjant schował wizytówkę, zasalutował i ruszył w stronę gapiów. Chwilę później przesłuchiwał już kogoś, trzymając no-

tatnik w jednej, a długopis w drugiej dłoni. Komisarz spojrzął na zegarek. Dochodziła za dwadzieścia ósma.

Po kilkunastu minutach, które policjant spędził, marząc o kawie i drepcząc w miejscu, żeby choć trochę się rozgrzać, pod dom podjechał czerwony polonez. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn: starszy i siwiejący oraz młodszy, ale już łysy. Mortka nie znał tego drugiego. Starszy nazywał się Kamil Jankowski i był jednym z najlepszych techników z Komendy Stołecznej. Metodyczny, bystry, ale też lekko narwany i irytujący.

– Mortka, złamasie jeden. To twoja sprawa? – przywitał komisarza Jankowski. – Czy ty wiesz, która godzina?

– Wiem.

– To cudownie! – Technik wyciągnął ręce w górę. – Och, jak mi ulżyło! Komisarz Mortka jednak nie zgubił pieprzonego zegarka!

– Przestań narzekać. Uwiniesz się tutaj do dziewiątej i będziesz mógł wracać do domu.

Technik spojrzął na willę. Budynek miał sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, do tego ogród i piwnicę.

– Coś takiego? Do dziewiątej? Jesteś pewien?

– Szybciej zaczniesz, szybciej skończysz.

– Goń się. Co tu mamy?

– Prawdopodobnie podpalenie – wyjaśnił Mortka. – W środku jest strażak, aspirant Kowalski. Zna się na tym lepiej ode mnie. Mówi, że ktoś wrzucił koktajl Mołotowa przez komin. Możesz to sprawdzić?

Jankowski spojrzął na komisarza tak, jakby ten go właśnie obraził.

– Do takiej roboty mogłeś wezwać byle stażystę, a nie...

– Takiego asa polskiej kryminalistyki jak ty? – wszedł mu w słowo Mortka. – A właściwie to wezwał cię Kochan. Jemu podziękuj.

– Sukinkot.

– I zrób jeszcze w wolnej chwili zdjęcia temu tłumowi, dobrze? Nie widziałem, żeby miejscowi mieli aparaty.

– Pierdol się.

– Dzięki.

Jankowski poszedł z pomocnikiem do spalonej willi. Po drodze minęli się z Kochanem, a Mortka usłyszał wiązaną rzuconą przez technika. Kochan tylko się roześmiał i pogroził Jankowskiemu palcem.

– To co, idziemy do jakiegoś centrum operacyjnego? – zaproponował podkomisarz, kiedy podszedł do kolegi.

– Tak wcześnie rano, w sobotę? Będzie coś otwarte?

– Niedaleko jest McDonald.

Mortka kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Pierwsza część cyklu z komisarzem Jakubem Mortką

W zimową noc w willi na Ursynowie wybucha pożar, w którym ginie biznesmen, a jego żona, celebrytka, zostaje ciężko poparzona. Przez chwilę wygląda to na nieszczęśliwy wypadek. Przez krótką chwilę.

Sprawę prowadzi komisarz Mortka, przenikliwy człowiek w prestiżowej komórce policji, która potrafi doszczętnie zrujnować życie osobiste. To z pozoru proste dochodzenie coraz bardziej się gmatwa i niepostrzeżenie zaczyna pogarszać i tak już trudne relacje komisarza z byłą żoną.

Czy Mortce uda się rozwiązać sprawę, zanim dojdzie do kolejnej tragedii? Jaki cel ma podpalacz? Dlaczego wybiera akurat te, a nie inne domy? A może zależy mu na konkretnej osobie, a pozostałe podpalenia mają odwrócić uwagę? Czy aby wyegzekwować sprawiedliwość, komisarz naciągnie granice prawa?

cena 37,90 zł



w sprzedaży także

